

INICJATYWA PODJĘTA

Zapał społecznych działaczy kulturalnych jest zawsze godny pochwały. Powoduje on przyspieszenie tempa życia kulturalnego danego regionu, stwarza dogodne warunki do ożywienia działalności placówek kulturalno-oświatowych i ułatwia podniesienie poziomu kulturalnego. Jednak, aby zapał przyniósł konkretne korzyści potrzebne są jeszcze środki finansowe, lokalowe, materiałowe i wiele innych. W roku 1960 powstało Towarzystwo Kulturalne Ziemi Świdnickiej, niestety trudności, o których wyżej jest mowa spowodowały, że wkrótce piękna i cenna inicjatywa zakończyła żywot śmiercią naturalną.

Reaktywowane przed trzema miesiącami Towarzystwo Kulturalne Ziemi Świdnickiej znalazło obecnie mocne poparcie zarówno w Radach Narodowych jak i Komitecie Powiatowym PZPR

Zasadniczy nasz cel — pełne upowszechnienie kultury — może być osiągnięty jedynie przy czynnej postawie masowego odbiorcy dóbr kulturalnych. Konieczne jest też zaangażowanie wewnętrzne społeczeństwa w procesach kulturalnych. Społecznej inicjatywie kulturalnej przypada ogromna rola w kształtowaniu aktywnej postawy obywateli wobec życia, budzeniu ich potrzeb i zainteresowań umysłowych i kulturalnych.

Towarzystwo Kulturalne Ziemi Świdnickiej jest mocnym ramieniem społeczeństwa w kultywowaniu odrębności kulturalnej naszego regionu, w wykazywaniu polskości Ziemi Świdnickiej i we wzbogacaniu tymi wartościami kultury ogólnonarodowej. Do zrealizowania tych celów nie wystarczą nam tylko tradycyjne formy i środki organizowania życia kulturalnego. Współczesne zdobycze techniki i wzrost zapotrzebowań oświatowo-kulturalnych stawiają przed nami nowe zadania. Jednak organizowanie najrozmaitszych form pracy kulturalno-oświatowej musi wiązać się z aktualnymi i konkretnymi potrzebami naszego środowiska oraz zainteresowaniami młodzieży i ludzi dorosłych.

Wielu społecznych działaczy kulturalnych i niektóre organizacje próbowały na własną rękę podjąć tym zadaniom. Brak koordynacji w działalności poszczególnych działaczy i organizacji oraz duże rozdrobnienie środków spowodowały, że działacz społeczny czuł się w środowisku osamotniony, bez poparcia moralnego i organizacyjnego. Wielu działaczy przeżywało kryzysy, załamania i konflikty. Dlatego Towarzystwo pragnie połączyć wysiłki poszczególnych działaczy i organizacji, umiejętnie skoordynować na terenie Ziemi Świdnickiej działalność kulturalno-oświatową. Połączony wysiłek z pewnością przyniesie konkretne korzyści i oczekiwane rezultaty.

Środkami oddziaływania Towarzystwa Kulturalnego Ziemi Świdnickiej są sekcje: muzyczna, plastyczna, historyczno - archeologiczna i propagandowo-wydawnicza. Poprzez te sekcje pragniemy dotrzeć zarówno do środowisk miejskich jak i małych środowisk wiejskich. Pragniemy organizować i rozszerzać działalność kulturalno-oświatową i tam, gdzie ze względu na brak odpowiednich środków, brak kadry oświatowców i tradycji oświatowych organizacja efektywnej działalności jest mocno utrudniona. Podajemy pomocną dłoń każdemu działaczowi, każdej organizacji i placówce kulturalnej na terenie Ziemi Świdnickiej.

Szczególne opiekę pragniemy otoczyć amatorski ruch artystyczny. Pozbawione dotychczas pomocy zespoły dramatyczne, recytatorskie, taneczne i muzyczne otrzymają konkretną pomoc zarówno materialną jak i fachową z nowoutworzonego Ośrodka Metodyczno-Instruktażowego w Witoszowie Dolnym. Ośrodek ten dysponujący pełną bazą materiałową i mający do dyspozycji specjalistów-instruktorów docierał będzie do każdego zespołu, czuwał nad właściwą ich działalnością i pomagał w pokonaniu wielu trudności. Biblioteka repertuarowa i kostiumeria Ośrodka stoi otworem dla wszystkich działaczy i zespołów.

Nie zapominamy też o twórcach ludowych. „Zielone światło” dla twórczości ludowej pozwoli na zapoznanie szerokich mas społeczeństwa z dotychczasowym dorobkiem kultury ludowej i wytworzy atmosferę sprzyjającą jej rozwojowi i wypracowaniu na terenie Ziemi Świdnickiej swoistego charakteru tego rodzaju twórczości.

Towarzystwo Kulturalne Ziemi Świdnickiej skupia zasadniczo młodzież pracującą i dorosłych. Nie wyłączamy jednak w naszej działalności młodzieży szkolnej, która już nieraz dała dowody dużej przydatności w pracy kulturalno-oświatowej. Przy pomocy grona nauczycieli młodzież szkolna winna włączyć się w nurt zapoznawania się z wartościami kulturalnymi naszego regionu i ich propagowania. Jednocześnie musimy przygotować

młodzież, aby w przyszłości stała się kontynuatorką naszej działalności zakrojonej przecież na wieloletnią żywotność.

Niech więc ta jednodniówka — „Zeszyt Świdnicki” stanie się pomostem łączącym Towarzystwo Kulturalne Ziemi Świdnickiej z najszerszymi rzeszami społeczeństwa. Niech poszczególne sekcje włączą do swoich szeregów wszystkich chętnych działaczy i zespoły, niech zatętnią pełnym życiem organizacyjnym. Drzemiący od lat zapal społeczny niech ujrzy światło [dzienne, przez co nasz wspólny wysiłek osiągnie konkretne rezultaty i stanie się faktycznym wkładem w utrzymanie tradycji kulturalnych Ziemi Świdnickiej.

JERZY MICHALSKI

Wczoraj, dziś i jutro Świdnicy

18 lat to sporo czasu — a przecież tyle już lat żyjemy w Świdnicy, która po wiekowej niewoli wróciła do macierzy.

Skoro chcemy mieć pełny obraz rozwoju ekonomicznego miasta musimy na moment sięgnąć pamięcią wstecz do 1945 roku — a będziemy mogli przekonać się jak trudna była wtedy stabilizacja życia gospodarczego.

Fabryki, instytucje, urzędy, szkoły były nieczynne, maszyny, urządzenia wywiezione lub rozmyślnie zniszczone, brak fachowców, surowców do produkcji. Jeśli dodamy trudności w zaopatrzeniu ludności w podstawową żywność i niezbyt pomyslnie horoskopy ekspertów w odniesieniu do możliwości produkcyjnych, to będziemy mieli przybliżony obraz istniejących warunków w tym okresie.

Mimo piętrzących się trudności — miasto zaczęło tętnić życiem już we wrześniu 1945 roku. Od tej też chwili datuje się szybki rozwój gospodarczy Świdnicy, który przyczynił się do zaliczenia tego starego piastowskiego grodu, pełnego zabytków — jako ważnego ośrodka przemysłowego, produkującego na eksport i potrzeby kraju, oraz przysparzającego państwu wiele cennych dewiz.

Obok szeregu kluczowych zakładów produkujących wagony, aparaturę precyzyjną, elektrotechniczną, urządzenia cukrownicze, ceramikę ogniotrwałą, wyroby włókiennicze, drzewne, skórzane — pracuje na terenie miasta 18 zakładów drobnej wytwórczości państwowych i spółdzielczych.

W porównaniu do okresu przedwojennego produkcja ilościowa wzrosła pięciokrotnie. W zakładach istniejących wprowadzono do produkcji szereg nowych asortymentów (za czasów niemieckich w ogóle nie znanych).

Zastosowano modernizację i mechanizację w procesach produkcyjnych, udoskonalono organizację pracy, co w wyniku pozwoliło na poten-

cjalny wzrost nie tylko ilościowo asortymentowy, ale i wartościowy produkcji.

Te właśnie czynniki i charakter sił wytwórczych ściśle wiążą się również z ilościowym wzrostem mieszkańców. Obecnie Świdnica liczy ponad 42.000 ludności i już w roku 1960 przewyższyła liczebny stan z 1939 roku. Na marginesie należy dodać, że ludność pracująca w sferze produkcji i usług stanowi 49% ogółu mieszkańców.

Również i pozostałe działy gospodarki miejskiej zasługują na uwypuklenie ich rozwoju. Dzięki coraz większej samodzielności i gospodarności Rady Narodowej oraz umiejętności wykorzystania przyznanych uprawnień miasto ma sporo osiągnięć. Rozbudowano zakłady usług komunalnych, jak gazownie, wodociągi, pralnie, łaźnie, komunikację miejską, służbę drogową itp. W ramach kapitalnych remontów zabezpieczono ponad 20.000 izb mieszkalnych kosztem 80 milionów złotych. Na przestrzeni ostatnich 8 lat wybudowano nowe bloki mieszkalne o 1650 izbach wykorzystując na ten cel ponad 90 mln. złotych. Zadbano o estetyczny wygląd zabytkowych kamieniczek, odnawiając całe kompleksy budynków śródmieścia. Przebudowano teatr mieszczący się w zabytkowym gmachu ratusza. Wybudowano 2 mosty na trasach przelotowych. Zmodernizowano oświetlenie poprzez założenie lamp jarzeniowych, przygotowano place pod nowe budownictwo.

Z myślą o wszechstronnym rozwoju młodego pokolenia uruchomiono w mieście 13 szkół podstawowych, 2 licea ogólnokształcące, 6 szkół średnich zawodowych i zasadniczych, w których pobiera naukę 3.800 uczniów.

Dla ochrony zdrowia mieszkańców zorganizowano sieć poradni specjalistycznych, szkolnych, lecznictwo zakładowe, rozbudowano szpital do 438 łóżek, wyposażając go w nowoczesną aparaturę medyczną, zaś nad zdrowiem społeczeństwa

czuwa 55 lekarzy i dentystów oraz spora ilość personelu pomocniczego.

Za prawidłowe zaopatrzenie ludności odpowiedzialny jest handel uspołeczniony obejmujący 205 punktów sprzedaży i 16 zakładów gastronomicznych. Sieć handlową zmodernizowano, unowocześniono formy sprzedaży, nastąpił wzrost masy towarowej dzięki czemu obroty już przekroczyły pół miliarda złotych.

Dużą pomocą przy porządkowaniu miasta w ostatnich latach — były czyny społeczne. Wkład pracy zakładów, instytucji, komitetów blokowych, Komitetów rodzicielskich, młodzieży i poszczególnych obywateli w poprawę gospodarki miejskiej przyniósł na przestrzeni 1955—1962 roku poważne efekty których wartość sięga 10 mln. złotych, w tym wartość czynów społecznych w latach 1960—1962 wynosi ponad 7.500.000 złotych.

Pomoc miastu nie ograniczała się tylko do prac w dziedzinie uporządkowania, remontu urządzeń komunalnych, socjalnych, mieszkalnych, czy też przysparzaniu nowych wartości, lecz przejawiała się również w nakładach finansowych, materiałowych, transporcie itp. Należy zaznaczyć, że pomocy finansowej udzieliły także miastu: Wojewódzki Komitet S.F.O.S. i „Liczyrzepka“.

Oto garść najważniejszych osiągnięć, bowiem trudno tu wyliczać wszystko, co zrobiliśmy przez okres wspólnego gospodarowania w naszym mieście. Trzeba zatem przejść do nakreślenia w ogólnych zarysach dalszej perspektywy rozwojowej miasta. Wychodząc z założeń demograficznych jako podstawy wzrostu ludności w planach na lata 1961 — 1965 przyjęliśmy, że Świdnica z końcem planu pięcioletniego będzie liczyła 46.000 mieszkańców.

Z przyrostem ludności wiąże się zwiększenie ilości miejsc pracy we wszystkich działach gospodarki a w szczególności w przemyśle, który będzie potrzebował wykwalifikowanych rąk do pracy. Ogółem przyrost zatrudnienia w tej „pięcioletce“ wyniesie 4.400 osób.

Jeśli idzie o zamierzenia produkcyjne przemysłu, są one poważne w rozmiarach. Świadczy o tym wartość produkcji zamykająca się w roku 1965 kwotą ponad trzy miliardy złotych. Biorąc za podstawę wskaźniki wartości produkcji należy stwierdzić, że najwyższy rozwój przewidziany jest w tych zakładach, których wyroby przeznaczone są na eksport. Priorytetem objęta jest Świdnicka Fabryka Urządzeń Przemysłowych następnie Fabryka Wagonów, Zakłady Wytwórcze Aparatury Precyzyjnej, Zakłady Elektrotechniki Motoryzacyjnej i inne.

W ramach nakładów inwestycyjnych rozbudowana zostanie powierzchnia produkcyjna zakładów, nastąpi wymiana i uzupełnienie parku maszynowego (należy nadmienić, że już obecnie do użytku oddano szereg hal produkcyjnych i pomocniczych). W produkcji uwzględniono szeroką mechanizację procesu wytwarzania oraz modernizację idącą z postępem techniki i czasu.

Te czynniki pozwoliły już na wprowadzenie w czołowych zakładach norm technicznie uzasadnionych, prawidłowe wykorzystanie dnia roboczego, ulepszenie metod organizacji i technologii produkcji, zwiększenie produkcji eksportowej oraz rozszerzenie produkcji asortymentowej o kilkadziesiąt nowych dotychczas nie produkowanych wyrobów.

Na marginesie należy dodać, iż na przestrzeni lat 1960/62 przemysł świdnicki nie tylko osiągnął dobre wyniki ekonomiczne, ale przysporzył także korzyści materialnych gospodarce narodowej.

Rozwój przemysłu kluczowego niewątpliwie wymagał powiązania jego zadań z gospodarką terenową, bowiem wzrastało zapotrzebowanie na usługi komunalne (zużycie wody, gazu, energii, itp. na cele produkcyjne). Należało także zabezpieczyć usługi dla pracowników zatrudnionych w przemyśle w zakresie urządzeń komunalnych zdrowotnych, socjalnych, kulturalnych czy też handlu.

Problem ten wymaga również naświetlenia z punktu widzenia obowiązków jakie zakłady winny ponosić w stosunku do gospodarki miasta.

Zdajemy sobie sprawę, że rozwój miasta zabezpiecza przede wszystkim rozwój przemysłu, zaś miarą oddziaływania zakładów przemysłu kluczowego na kształtowanie się życia gospodarczego w mieście jest między innymi wielkość nakładów na cele produkcyjne i usługowe.

Niestety na tym odcinku istnieją w dalszym ciągu dysproporcje. Mimo rozbudowy zakładów i zwiększonego zapotrzebowania na usługi komunalne — pomoc finansową w remontach i rozbudowie urządzeń komunalnych należy ocenić — mimo pewnej poprawy, jeszcze jako niedostateczną. A przecież sprawy potrzeb miasta winny być w centrum zainteresowania wszystkich miejscowych czynników. Dlatego trzeba będzie jeszcze sporo dołożyć starań, by jednostki planujące centralnie zrozumiały iż ich pomoc jest konieczna bowiem gwarantuje ona zaspokojenie własnych potrzeb.

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej chcąc zabezpieczyć proporcje wzrostu ludności z wielkością usług i rozmiarami produkcji musiało dostosować zamierzenia do możliwości finansowych i materiałowych. Z tych przyczyn wiele zadań choć koniecznych musiało być pominiętych w planie pięcioletnim.

W hierarchii potrzeb uznano zatem za najkonieczniejsze: rozwój budownictwa mieszkaniowego, zwiększenie remontów budynków mieszkalnych, utrzymanie w należyтым stanie urządzeń gospodarki komunalnej służby zdrowia, oświaty i kultury.

W latach 1963/65 przede wszystkim w szerszym niż dotąd zakresie ruszy nowe budownictwo. Do końca 1965 roku zostanie wybudowanych 4.500 izb mieszkalnych (w latach 1961/62 oddano już do użytku 1.030 izb). Nowe budownictwo jest zlokalizowane w śródmieściu przy ul. ul. Nowotki, Marksa, Bohaterów Ghetta, Teatralnej, 1-go Maja,

Westerplatte itp. — pozwoli ono na zapełnienie luk powstałych w zwartej zabudowie. Prócz tego wybudowane zostanie nowe osiedle mieszkaniowe wraz z urządzeniami towarzyszącymi przy zbiegu ulic Sikorskiego i Ofiar Oświęcimskich.

Drugim problemem nie mniej ważnym niż zagadnienie nowego budownictwa są kapitalne remonty budynków mieszkalnych. Kredyty rządu 70.000.000 złotych pozwolą na zabezpieczenie i przedłużenie użytkowania kilku tysięcy izb.

Niezależnie od remontów kapitalnych prowadzone będą remonty bieżące na które przewidziano ponad 32.000.000 złotych. Rozpoczęta zostanie przy ul. Równej budowa łaźni z krytą pływalnią. Duży hotel na 250 łóżek zlokalizowano przy ul. H. Sawickiej.

Projektuje się otwarcie ekspresowego salonu pralniczego wyposażonego w nowoczesne agregaty.

Zabezpieczono rozwój komunikacji poprzez wzrost ilości taboru do liczby 25 autobusów.

Także w celu utrzymania sprawności pojazdów wybudowana zostanie Stacja Obsługi Samochodowej.

Z.O.M. będzie wyposażony dodatkowo w 3 samochody bezpyłne i 2 polewaczki. W pozostałych przedsiębiorstwach uzupełni się potrzebne urządzenia i maszyny.

Miasto zostanie uporządkowane, oświetlone zwiększy się powierzchnia skwerów i zieleńców dla dzieci przewidziano szereg placów zabaw i boisk.

W planie nie zapomniano o potrzebach w zakresie oświaty i kultury — przewiduje się budowę 2-ch nowych szkół podstawowych zlokalizowanych przy ul. Ż. Jaroszewicz i Leśnej jak również Technikum i Zasadniczej Szkoły Zawodowej wraz z warsztatami i internatem przy ulicy H. Sawickiej. Ponadto zostaną dokończone i oddane do użytku Dom Kultury przy ul. Jagiellońskiej i szpi-

tal przy ul. Leśnej oraz odrestaurowany zabytkowy Ratusz Swidnicki.

Tak mniej więcej wyglądają główne kierunki rozwoju miasta na najbliższą przyszłość.

Jednak pełny rozkwit Swidnicy będziemy mogli zaobserwować dopiero za lat 20. Skończą się kłopoty mieszkaniowe przez wybudowanie ponad 30.000 izb mieszkalnych.

W nowoczesnych osiedlach każdy mieszkaniec będzie miał izbę dla siebie. Wokół osiedli zostanie odpowiednio rozwiązany system komunikacyjny, dużo zieleni i właściwie zlokalizowane miejsca wypoczynku.

Miasto 70-cio tysięcy będzie miało zapewniwy nie tylko rozwój przemysłu ale prawidłowo rozbudowane urządzenia kulturalno socjalne. Takie wnioski można już wyciągnąć ze wstępnie opracowanych założeń rozwoju województwa wrocławskiego na lata 1966/80.

W marzeniach jednak Swidnicę widzę jeszcze inną. — Nowe ruchliwe centrum handlowe, wysokościowce mieszkaniowe, nowoczesne hotele, ładnie i ze smakiem urządzone kawiarnie i kina. Wszystkie budynki posiadają śliczne kolorowe fasady pokryte odpowiednią emulsją, która w nocy zastąpi oświetlenie elektryczne ulic.

Nie będzie trudności z komunikacją bowiem prócz regularnych linii śmigłowców Wrocław — Swidnica, szybkie poduszki będą kursowały nad gładkimi jak stół drogami.

Przestaniemy narzekać na złe połączenie telefoniczne, gdyż za naciśnięciem guziczka otrzymamy błyskawiczne połączenie z Warszawą, Katowicami czy Gdańskiem.

Czy tak będzie? Trudno przewidzieć, ale warto wierzyć, że przy pomocy wkładu pracy nas wszystkich, młode pokolenie za lat trzydzieści czy pięćdziesiąt dzisiejszą fantazję uważać będzie za najbardziej naturalną sprawę.

DANUTA SAJDAK

Perspektywy szkolnictwa naszego miasta i powiatu na tle reformy

Wciąż rosnący postęp techniczny, zwłaszcza w latach ostatnich, zdecydował o dalszej konieczności przemian na odcinku oświatowym. Głównie chodzi o zmiany programowe i ukierunkowanie takie, aby szkoła przygotowała w ich ramach człowieka mogącego korzystać i z urządzeń nowych pod względem techniki dla potrzeb osobistych, jak również w wykonywanym zawodzie dla potrzeb społecznych.

A zatem — uchwały VII Plenum KC PZPR słusznie zostały sformułowane w ustawie — o rozwoju systemu oświaty i wychowania — z dnia 15 lipca 1961 r. Postulaty powyższe również znalazły sze-

rokie odbicie w tezach do dyskusji przed XI konferencją KP PZPR w Swidnicy z grudnia 1961 r.

Reforma szkolnictwa to przekształcenie istniejących szkół siedmioklasowych na ośmioletnie w oparciu o nowe programy nauczania, o dobrą bazę materialną i właściwą obsadę pedagogów. Dzieło reformy zostało rozpoczęte już w 1962 r., a ostatecznie zostanie zakończone w roku szkolnym 1965—1966.

Jesteśmy stosunkowo dużym powiatem, posiadającym różne typy szkół, podległe resortowo bądź Ministerstwu Oświaty bądź innym, z racji profilowego kształcenia, mimo to jednak nie możemy zaspokoić w pełni potrzeb terenu.

STAN OBECNY

Miasto (wieś)	Ilość szkół w 1963 r.		Zawod.	Techników	S. P. R.
	podstawowych	śred. og.			
Swidnica m.	14*	3**	7***	4****	—
Swiebodzice	7*	1	1	1	—
Strzegom	5*	1	1	—	—
Zarów	3*	—	1	—	—
Jaworzyna Śl.	3*	—	—	—	—
Swidnica pow.	80	—	1***	—	7
R A Z E M	112	5**	11***	5****	7

U w a g i :

- * w tym szkoły specjalne i dla pracujących
- ** w tym szkoła dla pracujących
- *** w tym szkoły przyzakładowe dla pracujących i rolnicze
- **** w tym technikum dla pracujących

PLAN ROZBUDOWY

Miasta	Powstaną nowe obiekty do roku 1966		
	Podstawowe	Zawodowe	Technikum
Swidnica m.	2	2	Łącznie przy zawodowych
Swiebodzice	2	—	
Strzegom	2	—	
Zarów	1	—	
R A Z E M	7	2	

U w a g a : nie wliczono szkół, które powstaną przy nowych osiedlach w m. Swidnicy.

Jeżeli spojrzemy na mapę sieci szkolnictwa z perspektywy jego rozwoju, wtedy zobaczymy, że szkoły wiejskie, które mają dźwigać realizację nowego programu stoją przed trudnym jednak zagadnieniem, przede wszystkim zagadnieniem bazy materialnej.

Na terenie powiatu w ciągu 3-ch lat musi powstać szereg izb lekcyjnych z adaptacji istniejących budynków szkolnych, albo musi rozwinąć się społeczne budownictwo nowych izb lekcyjnych. Ostateczność to wynajęcie izb lekcyjnych w domach prywatnych.

W czynie społecznym wkrótce rozpocznie się rozbudowa szkoły w Bojanicach. Adaptacja budynków szkolnych w Słotwinie pozwoli na zaspokojenie potrzeb, zgodnie z nowym programem.

Przystąpiono w wielu wsiach do opracowywania inwentaryzacji celem podjęcia prac adaptacyjnych. Środki na ten cel jednak nie mogą być wykorzystywane, gdyż wciąż brak fachowców budowlanych. Mijmy jednak nadzieję, że trudności te zostaną przewyżczone.

Nie sposób pominąć tu przedszkoli, podległych Inspektorowi Oświaty, których posiadamy łącznie w mieście i powiecie 34 (państwowych i przyzakładowych).

Oprócz wymienionych placówek istnieje jeszcze dobrze rozbudowany system świetlic przyzakładowych i przyszkolnych, różnego typu kółek zainteresowań oraz Dom Kultury Dzieci i Młodzieży.

Ze wspomnianych zakładów naukowo-wychowawczych korzysta:

Miejscowość	Szkoła podstaw.	Szkoła podstaw. dla prac.	Szk. śred. ogólnokszt.	Szk. śred. ogólnokszt. dla prac.	Przed-szkola	Szkoły zawod. i techn.	S. P. R.	Świetl.
Swidnica m.	7252	321	1050	576	1536	2317	—	295
Swiebodzice	3006	121	328	—	456	238	—	163
Strzegom	2514	83	193	—	188	412	—	272
Zarów	1278	96	—	—	157	314 *	—	212
Jaworzyna Śl.	1025	81	—	—	140	—	—	213
Swidnica pow.	11102	—	—	—	453	311	136	219

Dla prawidłowego funkcjonowania tak potężnego aparatu jakim jest oświata, potrzebna jest odpowiednia kadra.

Nauczyciele miasta i powiatu szkolnictwa podstawowego stanowią grupę ludzi w liczbie 778 w tym z wyższym wykształceniem 21, półwyższym 68, czyli 11,4%, doksztalających się 78 osób, co stanowi 10%.

W pozostałych szkołach ogólnokształcących stopnia licealnego i szkołach przyzakładowych pracuje 92 nauczycieli, a w szkołach innych typów nie podległych Inspektoratowi Oświaty 87 nauczycieli.

Na płaszczyźnie VII Plenum KC PZPR co najmniej 40% nauczycieli musi podnieść swoje kwalifikacje, a w 1965/66 r. zaangażowanych będzie do szkolnictwa podstawowego 350 nauczycieli, posiadających w pełni przygotowanie zawodowe do realizacji nowego programu nauczania. Będą to przede wszystkim tacy nauczyciele, którzy mają przygotowanie do zajęć praktycznych, śpiewu, chemii, fizyki i wf., z tej racji, że program nauczania kładzie na te przedmioty duży nacisk.

MIECZYŚLAW KOŚC

Inspektor Szkolny P.P.R.N. w Świdnicy

Związki Świdnicy z Polską w XV–XVI w.

Minął burzliwy wiek XIV, upamiętniony w dziejach Świdnicy zaciętą walką ostatnich Piastów, zwłaszcza Bolka II, o polityczną niezależność. Na nic nie zdała się pełna poświęcenia walka książąt świdnicko-jaworskich. Polska kazimierzowska, słaba jeszcze i wyczerpana nie tak dawnym rozbiem dzielnicowym, nie mogła ofiarować ziemiom śląskim swej pomocy, nie mogła upomnieć się o swe dziedzictwo. W roku 1392, po śmierci księżny Agnieszki, wdowy po Bolku II, księstwo świdnicko-jaworskie przechodzi definitywnie w ręce czesko-niemieckich feudałów.

Czy jednak dynastia piastowska była jedynym bądź głównym czynnikiem wiążącym Świdnicę z Polską? Powierzchnowe spojrzenie na losy naszego miasta mogłoby upoważnić do takiego wniosku, ale byłaby to zasadnicza pomyłka. Świdnica bowiem, jak i inne miasta śląskie, odpadła od Polski, ale nie straciła z nią związków, które w sposób silny i trwałe łączyły od zarania dziejów jej region z ziemiami w dorzeczu Wisły i Warty.

Związki te zaznaczyły się szczególnie wyraziście w dziedzinie gospodarki (zwłaszcza handlu) i kultury. Przyjrzyjmy się im po kolei, zaczynając od spraw gospodarczych.

Już w XIV w., a więc w okresie panowania świdnickiej linii Piastów, kontakty handlowe Świdnicy z szeregiem miast polskich, zwłaszcza z Poznaniem, Krakowem a później Lwowem, mają charakter bardzo ożywiony. Rozmiary wymiany handlowej powiększają się szczególnie po roku 1345, kiedy to Kazimierz Wielki, chcąc wynagrodzić księstwu świdnickiemu jego zdecydowanie propolską postawę, wydaje specjalny przywilej, otwierający kupcom świdnickim drogę na Ruś przez ziemie polskie i zwalniający ich od cła oraz wszelkich innych opłat. Znaczenie tego przywileju stanie się jasne wówczas, gdy dodamy, że Kazimierz zamknął równocześnie polskie szlaki handlowe dla kupców z tych księstw, które uznały zwierzchnictwo czeskie (a więc i wrocławskich). Nie trzeba dodawać, że kupcy świdniccy skorzystali z tych uprawnień skwapliwie, skupiając w swym ręku na przełomie XIV i XV w. cały niemal

handel Śląska z Rusią, przez którą szedł wówczas główny szlak kupiecki na Wschód. Na tymże handlu cennymi towarami wschodnimi (tkaniny, broń, pachnidła, korzenie) dorobili się mieszcianie świdniccy poważnych fortun.

Wiek XV i XVI w tym stanie rzeczy większych zmian nie przyniosły, z tym jednak, że Świdnica nie zadawała się już rolą pośrednika pomiędzy Wschodem a Zachodem, ale sama stała się również poważnym eksporterem własnych wyrobów rzemieślniczych, chętnie kupowanych w Polsce i innych krajach ościennych. I tak np. cenę się w ówczesnej Polsce świdnickie sukno, wyroby metalowe (zwłaszcza noże), a szczególnie piwo, ulubiony napój polskiej szlachty i bogatych mieszczan, szynkowane we wszystkich większych miastach Królestwa Polskiego. Z Polski Świdnica sprowadza w tym czasie przede wszystkim skóry, len, chmiel, sadło, śledzie etc. Po uzyskaniu przez Jagiellońską Polskę dostępu do morza (1466 r.) przybył Świdnicy nowy partner handlowy: bogaty Gdańsk. Zresztą nasze miasto utrzymuje stosunki handlowe nie tylko z metropoliami gospodarczymi ówczesnej Polski. Rozwija się również handel o charakterze lokalnym prowadzony z ośrodkami o drugo- a nawet trzeciorzędnym znaczeniu, głównie na terenie Wielkopolski i Małopolski (Kępno, Kalisz, Leszno, Częstochowa, Oświęcim). Ze obroty bywały duże, o tym świadczą najlepiej zapiski polskich komór celnych. Np. w jednym tylko roku 1548, przez samą komorę poznańską, kupcy świdniccy przewieźli na Śląsk przeszło 13 tys. skór różnych, pochodzenia polskiego i ruskiego, a do Polski 3.800 kóp noży, a także ok. 300 sztuk różnych narzędzi. Na silne ciążenie gospodarce Świdnicy ku Polsce wskazuje fakt, że na ogół import towarów polskich znacznie przewyższa eksport miejscowych. Mimo to jednak i tak większa część produkcji świdnickich rzemieślników, zwłaszcza sukienników, tkaczy, nożowników i piwowarów, znajduje w tym czasie zbyt na rynkach polskich. A produkcja ta była nie mała, skoro na początku XVI w. Świdnica posiada około 600 warsztatów różnych specjalności na około 15 tys. mieszkańców. Samych tylko piwowarów było z górą stu trzydziestu!

W XVI w. polskie komory celne zamykają parokrotnie drogę dla świdnickich kupców w związku z masowym fałszowaniem przez świdnicką mennicę ówczesnej polskiej monety. Powodowało to przerwy w handlu, na ogół jednak niezbyt długie.

Stosunki gospodarcze Świdnicy z miastami polskimi słabną a następnie zamierają dopiero w wiekach XVII i XVIII. Najważniejszą przyczyną jest tutaj ogólny kryzys gospodarczy wywołany ostatecznym rozkładem ustroju feudalnego, pociągający za sobą zarówno upadek gospodarki rolnej jak i miejskiej. Drugi powód — to ciągłe wojny pustoszące w tym czasie zarówno Śląsk jak i ziemie polskie. W ogóle jednak można powiedzieć, że ciążenie gospodarcze ziemi świdnickiej jak i całego Śląska ku Polsce było o wiele większe niż np. ku Czechom czy Austrii, z którymi to krajami łączył Śląsk w omawianych czasach nieprzerwany związek polityczny.

Nie mniej wyraziście rysują się w omawianym okresie związki polsko-śląskie na polu nauki i w ogóle kultury. Szczególnie koniec w. XV i I poł. XVI stwarzają ścisłą więź miast śląskich z krakowskim ośrodkiem naukowym. Renesansowy pęd ku wiedzy, zainteresowanie kulturą antyczną, reformacja — oto czynniki, które skłaniają rzesze młodych Ślązaków do studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz nawiązywania kontaktów z polskimi przedstawicielami reformacji i humanizmu. Wystarczy wspomnieć, że w latach 1433—1510 studiuje w Krakowie 2.487 studentów ze Śląska, z tego przeszło stu ze Świdnicy. Znamienne, że są to nie tylko Polacy, ale również Niemcy i Czesi. Po ukończeniu studiów ludzie ci bądź pozostawali w Polsce, bądź wracali na Śląsk i tu szerzyli polską kulturę renesansową. Zresztą — obustronny ruch ludności był w tym czasie dość duży: zarówno wielu przybyszów z Polski osiadało na ziemi śląskiej jak i na odwrót.

Świdnica wydała w tym czasie cały szereg wybitnych humanistów. Niemal wszyscy byli w jakiś sposób związani z Polską, głównie z Krakowem. Wystarczy dla przykładu wymienić tu Kaspra

Ursinusa Veliusa — Niemca, poetę i humanistę, który odbył studia w Krakowie i do końca życia w swych pismach z wdzięcznością i szacunkiem wspominał Polskę i Polaków, Wawrzyńca Raabe (Laurentius Corvinus) — humanistę i nauczyciela świdnickiej szkoły, również wychowanka Wszechnicy Jagiellońskiej, Paneratiusa Vulturinusa — który w swym poemacie „Panegiricus Silesiacus” poświęcił piękną strofę Świdnicy, z którą był przez szereg lat związany, czy wreszcie Daniela Czepkę (Schoeps) — który na Uniwersytecie Krakowskim zdobywa dyplom doktora nauk medycznych i po powrocie do rodzinnej Świdnicy zostaje fizykiem miejskim. Każdego z nich cechuje, widoczne w pozostawionych pismach, przywiązanie do ziemi śląskiej, śląskiego ludu (w tym czasie jeszcze w przeważającej mierze polskiego), przychylny stosunek do Polski, duży wpływ środowiska krakowskiego.

W 2 poł. XVI w. Ślązacy od Uniwersytetu Krakowskiego poczynają stronić. Ten nagły zwrot wyjaśnia kontrreformacyjny kierunek, jaki w tym czasie przyjmuje ta uczelnia. Nieco później powstaje uniwersytet we Wrocławiu, który nad krakowskim ma zasadniczą przewagę: jest blisko.

Nie sposób tu pominąć związanych z ruchem reformacyjnym kontaktów Śląska z Polską. Nie mamy dotychczas dokładniejszych danych dotyczących w tej mierze księstwa świdnickiego, ale przykładów porozumiewania się i współdziałania ośrodków reformacyjnych śląskich i polskich, zwłaszcza pogranicznych, mamy sporo. Szczególnie ostro daje się to zauważyć u zwolenników lewicowych odłamów reformacyjnych (np. „bracia czescy” i polscy arianie).

Powyższe zestawienia faktów są z konieczności ogólne i dość powierzchowne, ale w sposób wystarczający wskazują, że akt oderwania Świdnicy i w ogóle Śląska od Polski nie przesądził o jakiegokolwiek izolacji. Prawa Polski do ziemi śląskiej nie kończą się na w. XIV. Siegają znacznie dalej.

STANISŁAW KOTELKO

Z dziejów teatru świdnickiego

„Klub Kawalerów” w Czechosłowacji

Ostatnio dużo pisze się i mówi o pięknych teatralnych tradycjach Świdnicy, sięgających lat 1945—1952, gdy działał tu samoistny teatr zawodowy, mogący poszczycić się wielu poważnymi osiągnięciami artystycznymi. Warto więc może między innymi przypomnieć jeden z ciekawszych epizodów z historii tego teatru, a mianowicie występy świdnickiego zespołu na terenie Czechosłowacji w lipcu 1949 roku.

Owczesny wyjazd za granicę był rewizytą, bowiem w dniach 25—27 czerwca tegoż roku Świdnica nadzwyczaj serdecznie, z prawdziwą polską gościnnością przyjmowała w swych murach teatr czeski z Trutnowa, charakterem i zasięgiem swej

pracy bardzo zbliżony do świdnickiej placówki. Goście zza Sudetów pokazali nam wówczas trzy sztuki, w tym jedną polską — „Moralka pani Dulskie” Zapolskiej. Grane były ponad to: „Nasi furianti” Stroupežnickiego i „Krcma na brehu” Buriana. Komitet obywatelski specjalnie w tym celu powołany pod przewodnictwem ówczesnego viceprezydenta miasta ob. Turbiarza zadbał, aby aktorzy czescy czuli się jak u siebie w domu. To też przy pożegnaniu na granicy, dokąd odprowadzały gości liczne delegacje, nie brakło pocałunków, wiwatów, a nawet... łez.

Termin wyjazdu teatru świdnickiego do Trutnowa ustalono na koniec lipca 1949. Dyrektor Wiktor

Biegański zamierzał pokazać w Czechosłowacji molierowskiego „Chorego z urojenia“, który w poprzednim sezonie odnosił olbrzymie sukcesy na scenie świdnickiej, jednak trudności skompletowania dawnej obsady skłoniły go do zmiany planów. Ostatecznie „Dolnosleszke divadlo ze Swidnice“, jak głosiły afisze w Trutnowie, wyjechało z „Klubem kawalerów“ Bałuckiego, granym w następującej obsadzie: Mirska — Helena Płachecka, Marynia — Grażyna Korsakow, Ochotnicka — Jolanta Skubniewska, Dziurdziulińska — Irena Netto, Sobieniewski — Ryszard Sawicki, Wygodnicki — Bolesław Bombor, Nieśmiałowski — Wiktor Biegański (zarazem reżyser sztuki), Piorunowicz — Roman Burzyński (aktor wrocławski zastępujący chorego wówczas Józefa Pie rackiego), Motyliński — Krystian Tomczak, Topolnicki — Tadeusz Czechowski, Nina — Alina Dzierzbicka, Antoni — Kazimierz Załuski. Kierownictwo organizacyjno-administracyjne spoczywało w rękach niżej podpisanego.

Autokar ozdobiony transparentem: „Niech żyje bratni teatr czechosłowacki“ zabrał również przedstawicieli miejscowych władz i społeczeństwa, jak również pięciu przodowników pracy ze świdnickich zakładów przemysłowych, łącznie z zespołem — 40 osób. Dekoracja i rekwizyty jechały samochodem ciężarowym.

Wyjazd nastąpił w dniu 29 lipca o godz. 7.30 rano. Po krótkim postoju w Kamiennej Górze dla załatwienia ostatecznych formalności przepustkowych cała karawana przybyła o godz. 10.00 na punkt graniczny, gdzie oczekiwała już delegacja czeska z przemiłym dyrektorem administracyjnym trutnowskiego teatru, p. Cadekiem na czele. Był też obecny przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej Trutnowa p. Seidel i spora grupa znanych nam już ze Świdnicy aktorów czeskich. Po kontroli celnej samochodu przekroczyły granicę i w asyście czeskich przyjaciół udały się do Trutnowa odległego o 17 km od granicy, prosto na przygotowany w miejscowej restauracji obiad, w czasie którego nie obeszło się bez licznych toastów, wznoszonych w atmosferze szczerej, gojącej serdeczności.



W godzinach popołudniowych zespół polski zwiedził regionalną „Wystawę Karkonoską“, a wieczorem odbyło się pierwsze przedstawienie, na które przybył z Pragi attaché kulturalny ambasady polskiej, znany poeta Mirosław Żuławski z małżonką. Przed rozpoczęciem spektaklu na scenie odbyła się uroczystość powitalna z przemówieniami gorąco oklaskiwanymi przez widownię. „Klub młodenciu“ został przyjęty niebywale owacyjnie. Pełna wyrazistości gra sceniczna naszych aktorów pozwoliła czeskiej publiczności doskonale zrozumieć treść komedii Bałuckiego i bawić się perypetiami jej bohaterów.

Wieczorem zaproszono nas na bankiet, który przeciągnął się do późnych godzin nocnych. Orkiestra czeska grała melodie i pieśni polskie i czeskie, przy czym oba zespoły uczyły się nawzajem słów.

Nazajutrz po zwiedzeniu Trutnowa o godz. 12 teatr świdnicki wyjechał do pobliskiego miasta Horice. Tamtejsze władze miejskie zgotowały mu uroczyste powitanie w sali posiedzeń zabytkowego ratusza, poczem zespół polski zwiedził bardzo interesujące Muzeum Rzeźby (w Horicach istnieje szkoła rzeźbiarska). Wieczorne przedstawienie poprzedziły znów, jak w Trutnowie, przemówienia przy odsłoniętej kurtynie. Momentem szczególnie wzruszającym było wygłoszenie po polsku wiersza Słowackiego przez jednego z miejscowych recytatorów. Spektakl skutkiem tych uroczystości trwał do godz. 23 i dopiero po północy wróciliśmy do Trutnowa.

W niedzielę 31. VII. „rozkład jazdy“ przewidywał występ we Vrchlabi, małym miasteczku malowniczo położonym u stóp Karkonoszy. Oprócz powitania w ratuszu uczczono teatr świdnicki pochodem przez całe miasto z orkiestrą i sztandarami. Po obiedzie zawieziono nas w góry do Szpindlerowego Młyna, przypominającego trochę Zakopane ze swymi okazałymi hotelami i sanatoriami. Nie bez tremy (zwłaszcza u pań!) zespół wyjechał też wyciągiem krzeselkowym na jeden z okolicznych szczytów. Wieczorem we Vrchlabi publiczność przyjmowała przedstawienie nie mniej gorąco, niż w dniach poprzednich.

Następnego dnia przyszedł wreszcie pora powrotu. Długi orszak samochodów odprowadzał teatralny autobus do granicy, gdzie po raz ostatni wymieniono uściski i pocałunki. W ogóle, co najbardziej mile uderzało w Czechosłowacji, to nieopisana wprost serdeczność, z jaką odnoszono się do nas wszędzie. Częstokroć wypowiedane w tych dniach słowa o braterskiej przyjaźni obu naszych narodów znajdowały pełne pokrycie w faktach. Gospodarze uczynili dosłownie wszystko, na co ich tylko było stać, aby umilić nam pobyt na czeskiej ziemi i cel ten osiągnęli w zupełności. To też gościna w Czechosłowacji dla wszystkich uczestników tej uroczej, a przy tym dającej pełne zadowolenie z sukcesów artystycznych wycieczki pozostanie chyba do końca życia jednym z najprzyjemniejszych i najbardziej wzruszających wspomnień.

FRANCISZEK JARZYNA

Notatki z podróży do ZSRR

W pociągu

Kiedy wiozący nas pociąg minął graniczny Brześć nad Bugiem, kiedy już na dobre znaleźliśmy się w obcym, choć zaprzyjaźnionym kraju — niecierpliwa myśl zaczęła się domagać natychmiastowej konfrontacji wyobrażenia z rzeczywistością. Znalazłem się w kraju wierszy Janka Kupały i Maksyma Tanka, a także Aleksandra Błoka i najbliższego sercu Sergiusza Jesienina. Napisałem kiedyś o nim wiersz. Zacząłem go sobie przypominać, recytując słowo po słowie w rytm kół pociągu, pędzącego przez płaski, białoruski kraj.

...odarta z niepokoju
łagodna równina
na zielonym oceanie
nadmiaru przestrzeni

na kartach błękitu
w pociągu do nikąd
w piórze oddechu:

Jesienin...
Je-sie-nin...
Je-sieeee-nin...

Ludzie, widziani z okien pociągu, byli bohaterami lirycznych wierszy rosyjskich i białoruskich. Chciałoby się pogadać z nimi, sprawdzić, czy są tacy sami, jak ich wyobrażamy sobie na podstawie lektury.

Tymczasem siedzimy w wagonie restauracyjnym. Kolega J. z Gdyni, ekonomista i — szczęśliwym zbiegiem okoliczności — absolwent Uniwersytetu Saratowskiego a znający dzięki temu doskonale język rosyjski, wdaje się w ożywioną pogawędkę z jadącym do Moskwy majorem oraz studentką tamtejszego Uniwersytetu.

Czuję się między nimi bardzo swobodnie i serdecznie. Dlaczego? Dzieli nas przecież wiele rzeczy z tego świata, masa cywilizacyjnych nawyków, niemało uprzedzeń kulturalnych, czerpanych z lektury i wykształcenia — a mam poczucie ścisłej więzi z naszymi rozmówcami. Niemal każdy z nich, po nieco dłuższej chwili pogawędki staje przed nami bez pancerza, bez najmniejszej tarczy przebiegłości. Wystarczy lekko zeszkrobać paznokciem ochronną warstewkę grzecznego uprzejmości, lub ironii, albo namiętnie uprawianego tutaj brylowania konwersacyjnego, a już mamy szczerą sylwetkę człowieka, gotowego do natychmiastowej przyjaźni i spontanicznej serdeczności.

Rozmawiamy szczerze i otwarcie. Kiedy rozmowa przeszła na tory polityki, jak miecz Damoklesa zawisł nieuchronnie nad nami problem kultu jednostki.

— Aby mieć czas na choćby pobieżne zapoznanie się ze skomplikowaną strukturą tego zjawis-

ka, musielibyśmy jechać razem nie do Moskwy, ale przynajmniej na Kamczatkę — powiedziała studentka. Przyznaliśmy jej rację.

Pierwszy wieczór w Moskwie

Ulokowano nas w hotelu „Turist“. Moskwę zalewa potop wojażerów z całego świata. Nasza grupa ginie w tłumie dalekich i bliskich przybyszów. Tysiące uszu i języków. Tysiące rąk obmacują każdy szczegół. Pochopni już wyciągają jakieś wnioski.

Na szczęście udało się nam uniknąć zarażenia gorączką podróży i febrycznego zwiedzania. Nam się nie spieszy jakoś nigdzie i dokąd. Chcemy poprostu chodzić sobie po ulicach chłonąc specyficzną, niepowtarzalną atmosferę wielkiego miasta.

Serce Moskwy — to słynny Plac Czerwony. Jak krwionośne arterie biegną doń linie tylekroć opisywanego i podziwianego Metra, zaliczanego całkiem słusznie do cudów współczesnego świata. Jedziemy więc Metrem. I my również podziwiamy piękne stacje, wygodne wagony, niezawodną wentylację, błyskawiczną szybkość. Widzimy pełne wykorzystanie wszystkich propozycji najbardziej współczesnej techniki. To trzeba podziwiać. Koniecznie.

Ale naraz podziw ustępuje miejsca niespodziewanemu wzruszeniu. Urzekająca, ściskająca za gardło widokówka: Sobór Błogostawionego Wasyła.

...niepowtarzalny w świecie
działa na smak
i powonienie

uchodźmy
zapach piernika
rozplynie się w ustach

zapada się przez ramię
w nadmiarze przestrzeni
powietrze wchłania
cerkiewkę
z tortu

lukrowane kopyły
maczają gonty
w miodzie
kolorowej baśni dzieciństwa

Wiem, że już nic więcej nie potrafię i nie chcę widzieć. Szybki powrót do hotelu. I sen. A we śnie nieprzerwany widok pięknego Soboru.

Błaski gastronomii

Radzieckie zakłady gastronomiczne muszą imponować nie tylko bywalcom reprezentacyjnych lokali świdnickich, wypełnionych odorem nieświeżych tłuszczów oraz porozlewianego na stolikach piwa.

„Moskowskaja osobaja“ jest nieco za ostra jak na nasze przyzwyczajenia i nawyki. A nie można było w jakiś sposób nie uczcić lirycznych wzruszeń poprzedniego wieczoru.

I dlatego dzień muszę rozpocząć od porannego hymnu na cześć radzieckiej gastronomii. Wszystkie produkty świeże i najbardziej naturalne. Smietanka — trudno przyznam się, że oblizałem palce — cudownie ożywiła pustynną spiekotę gadła. A owoce? Za taką jakość Prezesowi Spółdzielni Ogrodniczej w moim mieście obiecuję pomnik z marmuru, wiedząc, że nigdy facet nie narazi mnie na ten akt holdu i wdzięczności.

Kolega — doktor opowiada mi, że pod względem żywienia Europa dzieli się jego zdaniem na dwie strefy. Strefa wpływów niemieckich bazuje na namiastkach. Związek Radziecki słusznie i chwalebnie reprezentuje strefę produktów naturalnych. A Polska? Niestety, produkujemy ersatze i straszymy się choleresterolem. Wymyślamy slogany o margarynie powołując się na zachód, gdy tymczasem we Francji i Anglii już działają stowarzyszenia zwalczające namiastki.

W muzeum im. Puszkina

Opowiadania świdnickiego przyjaciela Mariana R. tak rozpałiły moją wyobraźnię, że odczuwam niepokój. Boję się o obrazy, że w międzyczasie zblakły i pogasły.

Lęk przed kompromitacją oczu i postulatami wyobraźni skierował nas do starożytnego Egiptu. Dolny pawilon: autentyczne, prawdziwe mumie z przed 4000 lat.

Na wyższym piętrze bezcenne zbiory malarstwa. Reguluję wzrok na najtrudniejszy zakres.

Włosi mówią o świecie najbardziej przystępnie i elementarnie. Używają barw tak czystych jakby brali je wprost z tęczy. Regionalni Wenecjanie pogłębiają tę czystość świadomością mroku. Dlatego kolory ich płócien są raczej stężone, bardziej esencjonalne. Barwy malarzy weneckich przed zstąpieniem do oczu ocierały się o czerni. Światło dnia jest u nich jakby zwiastowaniem nocy.

A Florentyńczycy — Lippi, Boticelli?

A Cranach, przed którym teraz stoję? Ornamentykę przypomina Mediolan. Ale to zdobniczo, wydaje się, nie ma czysto dekoracyjnego sensu. Jest w nim taka sama perwersja jak w aktach kobiecych na tle liturgicznych szat. Kapelusik, bransoleta — nie erotyzm ale czysta liturgia ciała. Ono jest u Cranacha wieczne.

Teraz Van Gogh... Nie chodzi o to, że wzruszałem się kiedyś „Pasją życia“:

...cierpliwy Wincenty
wierny światłu jak słonecznik

przepala słońce rudy mózg
miał heroiczną odwagę
malował pędzlem i brzytwą

porozrywał poprzecinał
strukturę przestrzeni
tysiącami sposobów
i możliwości

jeśli trzeba:
wzejdą trzy słońca

dlaczego tylko trzy?

Pytanie rodzi następne pytanie. Są w sztuce rzeczy i sprawy, o których nie można przestać myśleć.

Mauzoleum Lenina

Na IKKN wkuwaliśmy metodą „paznokciową“ niektóre fragmenty Jego dzieł. A teraz cicho dzwonią kuranty, które On sam kazał uruchomić na jutro po Rewolucji. Złote jabłka cerkiewnych kopuł rozjaśniają i wzbogacają przestrzeń. W scenarii pełnej tradycji złote ziarno siewu szczęśliwej przyszłości.

Naukę leninizmu należałoby rozpoczynać od wizyty, którą właśnie przeżywam:

...zygzakiem błyskawicy
droga epoki
od wstrząsu myśli
do drżenia serca

dotknięci czystością uczuć —
dzieci dorosli i starcy —
przeniosą rakiety
jabłka
balkony
do zielonych gwiazd

rozerwało ciemności kosmosu
pięć liter jak w wyrazie „Świat“

LENIN

Okragłe, wypukłe czoło... Zdumiewająca autentyczność i podobieństwo do wielu znanych mi posągów. Ale przecież to On sam. To Jego ciało. Żywy człowiek o wymiarach i godności pomnika.

W Tretiakowskiej...

Myślę iż ten przymiotnik wystarczy. Wiadomo — chodzi o słynną w całym świecie Galerię rosyjskiego malarstwa.

Idziemy przez sale. Plan Galerii niemal w nogach. A więc nogi same niosą. Szybkość kroku się zwiększa. Poszukiwanie.

Obojętność wobec wielkiego obiektywnie Riepina. Gigantyzm Surikowa również nie wstrzymuje.

Kramskoj: „Chrystus na pustyni“. Bezsilna kontemplacja. Chrystusa?

Może pańszczyźnianego chłopca rosyjskiego, podniesionego w swoim męczeństwie i ofierze do rangi nowego Chrystusa? Jak to było? Ilia Riepin

wspomina w swoim pamiętniku jak Kramskoj szukał modelu do swojego tematu. Przygotowywał się do jego realizacji w mistycznym uniesieniu. Pościł, nie jadł, odrzucał wszystko co doczesne i ziemskie. Szukał modelu. I kiedyś we śnie ukazał mu się Chrystus niby chłop przywalony zwałiskiem kamienistych i ostrych, twardych stosunków feudalnych. Po wyboistej drodze taszcza wózek oświaty narodnicy idealisci. A w bezsilnych załamanych rękach Chrystusa nie ma ani jednej kropli krwi.

Wiem napewno: to ten sam Chrystus z obrazu Kramskoją wiódł na barykady rewolucjonistów z końcowego fragmentu poematu Błoka p.t. „Dwu-nastu“. Odczytajcie go sobie w tym miejscu.

Przed Taszkientem

...w zatoce
spiętrzają ławice piasku
czerwoną nagość pustyni

ponad falami wydm
młode karki
prężą soczyste grona

wplaw płynie horyzont

śpiew Uzbeków
zarzucił kotwice
w ujarzmionych falach
syczącego piasku

miękką ciemność
z rzęsą księżycy pod powieką
otula ramiona

śpisz już córeczko w Świdnicy?

Muzem w Taszkientcie

O Awicennie, który na tej ziemi w cieniu morw i brzoskwiń pisał swą genialną „Księgę Uzdrowień“, a w filozofii usiłował łączyć twórcze myśli Arystotelesa z bezdusznymi formułkami Koranu — wiedziałem trochę.

Pytałem naszego milego przewodnika, gdzie leży wioska Afszyna, w której przyszedł na świat ten wielki uczony. Wiedział niezbyt dokładnie.

O Avicennie wiedziałem. Ale dlaczego nie sły-
szałem o Ulug Beku. Długo stałem przed obrazem przedstawiającym Jego męczeńską śmierć. Ulug Bek był wielkim astronomem współczesnym naszemu Kopernikowi, który również odważnie i zgodnie z naukową prawdą pisał o kulistości ziemi. Skazano Go za to na śmierć, jako głosiciela sprzecznych z teoriami Koranu herezji.

...czarne goreje w oczach średniowiecze
spada głowa pod krzywym mieczem
na ziemię morw i brzoskwiń

nie przysłonią prawdy żadnym cieniem
fanatyzmem skażone płomienie
rozjaśniające świat myśli Ulug Beka

na tej ziemi również gościła
ofiary i miłości siła
człowieka do człowieka

W Uzbekim Teatrze

Był też w Taszkientcie Dom Dziecka. Chór i orkiestra witająca nas pieśnią „Rozszumiały się wierzby płaczące“. Wśród małych Rosjan, Tatarów i Uzbeków była — jakże inaczej? — również i polska sierotka.

A później teatr. Ludowa sztuka uzbecka. Jej treść tłumaczyli nam uprzejmie gościnni gospodarze. I wielki połów liryczny.

...na żarliwej scenie aż w chłodnych jedwabiach
zamierzczało echo

gdybyśmy tak mogli
wszystko zapomnieć i wszystko powtórzyć
śpiew rzęs tak długich dodałby nam ulgi

przybądź
równina łagodnie się schyla
ciepły wiatr napowrót smukłość twoją wyśni

wiem że fizycznie nie spełnisz się nigdy
jak chichot Beka w dykcji suchych liści
Cóż? Pochodzę z kraju wielkiego romantyzmu.

Uwagi końcowe

Przy zwiedzaniu studenckiego obozu pocałowałem po bratersku jedną kobietę. Z najczystszej przyjaźni. Szczerze mówiłem przy każdej okazji „Katarachmat“ co po uzbecku znaczy: „dziękuję bardzo“. A okazji była masa. Kolchoz bawełniany, uprawiający „białe złoto“ tego słonecznego kraju. Było ono nie białe tylko różnokolorowe.

W Samarkandzie widziałem obserwatorium Ulug Beka, grób Tamerlana, i — o radości — prawdziwy wschodni bazar.

...w zapachu brzoskwiń żarłem i piłem
klnąc z Uzbekami darłem się o towar

byłem raz mullą i obcym i dzieckiem
wkońcu znów pozostałem lechickim niemową

Pora odchodzenia...

trzeba było aż tego pustynnego punktu
spalonej równiny
z posiwiąłym drzewem

odchodzę w dzień żarliwy
czas wysoki
ginie w nich pamięć
jak w morzu Aralskim
o które
nikogo
nigdy
nie prosiłem

MIECZYŚLAW JASEK

○ świętym Melchiorze od wina

(GAWĘDA ŚREDNIOWIECZNA)

Postuchajcie więc waszmościowie jak to z onym świętkiem było.

W naszym zacnym grodzie, przy ulicy Luczników, mieszkał cichy i bogobojny kupiec, Melchior Pamuła, o którym nieby potomność nie wiedziała, gdyby nie wslawił się onym cudem z winem dokonanym.

Otóż Pamuła żył i pracował jak wszyscy kupczykowie, aleć miał on przeogromną wadę, od której inni także wolni nie byli, ino że ich małżony nie bębniły tak po mieście, jak niewiasta pana Melchiora. Wadą tą była nieprzeparta ochota do wszelkiego rodzaju napitków. Lubo najwięcej imć Pamuła spijał wina.

Znając swego pana męża ogromną namiętność, Pamułowa tak go pilnowała, iż biedaczysko tylko od czasu do czasu lyknał gdzie niebądź, ale co potem się działo, tego lepiej nie mówić. Jazgotliwa małżona tak wydziwiała, że strach i żalność ogromna było patrzeć na nieszczęśnika.

Chodził Pamuła tydzień jeden, drugi o suchym pysku, aż na trzeci, tak sobie wszycko misternie wykombinował, że przestał pokazywać się w gospodach i na ulicach. Ten i ów począł się dziwić. Wreszcie kamraci, pomalutku, podchodzić poczęli do imć pani Pamułowej i dalej się dopytywać co z jej mężem się stało, iż już od tygodnia nie widać go ani w sklepie, ani też w grodzie.

Pamułowa, początkowo nic nie rzekła, ino z oczu jej trysnęły ślęzy, jak z onej neptunowej studni co to w Rynku po północnej stoi stronie, i bucząc a pociągając nosem żalić się jęła wreszcie i dziwną gadkę o swym małżonku rozповідаć.

Ni mniej, ni więcej, od ostatniej niedzieli Melchior jakościś dziwnie zachorzał. Bo kiej oczy rozewrze, to taki błąd i maślanka w nich się czaji, nic ino zdaje się, nockę całą gdzieśik przehułał, a schlał się przy tym jak nieboskie stworzenie. Pamułowa pierwszego ranka, zaczyn chorosć poznała, myślała, że jej ślubny spił się. Ale kiej wspomniła sobie, że spał kole niej, jak cielaczek podle krowy, to aż ją drętwoła chyciła. I dalejże patrzeć a potrząsać Melchiorem — wacha, naisto winem gęba małżonka pachnie, iż jej w żywocie od czczości kręci. Zdumiała się wielce pani Pamułowa, w głowę zachodzi, co by to być mogło? Ściąga wreszcie onego z wyrka, a ten kiej kłoda wali się na ziemię i jakieś zbereźne słowa bełkocze, żonce wygraża i zpowrotem na łóżę się gramoli.

Cóże miała czynić biedna, bezbronna niewiasta — lap go za kudły i prask w pysk raz, drugi. Trochę to pomogło, bo Pamuła ślipia rozwarł i bykiem obziera się po alkowie. Widać cosik mu w głowie przejaśniało, bo zebrał się w sobie, odział niezdarńie i w cudowny sposób nasiąknięty winem polazł do swego sklepu.

W pierwszym i drugim dniu mogła go jeszcze Pamułowa poderwać z łóża, ale później... at ręką machnęła i sama wzięła się do roboty, czekając kiej ta urocza słabość minie, co się męża niczym rzep psiego ogona czepiła.

Może by i długo czekała, gdyby nie przypadek, któren jako to zwyczajnie różne tajemności na światło dzienne wyciągnąć potrafi.

Zaś tymczasem do Melchiora, kamraci jak w procesji chodzili. Przepatrywali, wachali, obmacywali. Ech, znawcy to byli nie lada, więc nic krom spitego Pamuly i cudownego zapachu południowego wina nie widzieli i nie czuli.

Po pewnym czasie i odwiedzających czepiła się dziwna słabość. Co który od chorego wychodził, to zataczał się tak jakby był spił się w jakowymś szynku. Spici trzymając się za ręce, śpiewając swawolne piosenki przetykane modlitwami za chorych i zmarłych, wychodzili z alkowy, błogosławiąc Pamulę i jego chorobę.

Skutki tych odwiedzin jeszcze większą dziwnością napełniły Swidnicę i okolice.

Nikt w on czas o niczym innym nie mówił, jak o tajemniczej chorobie imć Melchiora Pamuly.

Razu pewnego, nieszczęśnika odwiedził sam ksiądz proboszcz, a że znawcą był doskonałym, to ino wszedł do alkowy, zaraz od proga zawołał:

— Ocho, ani chybi italiańskie winko — i ręką jego miast wznieść się do błogosławieństwa, spoczęła wielce wymownym ruchem na brzuchu.

Tymczasem Melchior jeno zoczywszy duchownego, wrzasnął:

— Precz, precz...! — i obróciwszy się tyłkiem, jakieściś bajdury jął wykrzykiwać a bezczerności.

Zacny ojczulek mile podniecony zapachem dobrego trunku, namiętnie przekładał Pamułowej, iż ani chybi mąż jej opętany jest przez diabła i trza złego wypędzić, a egzorcyzmy solenne odprawować.

Długo nie zwlekano. Wybrano dzień najbardziej sposobny i zabrano się szparko do wypędzania z Melchiora diabła, któren w postaci imaginowanego wina męczył nieszczęśnika.

Aleć nic z onych egzorcyzmów nie wyszło, bo Pamuła w trakcie solennych modłów i kadzeń, jak nie zacznie bakać tyłkiem i czać gębą, jak nie zacznie kiwać na żonę, a sprośnymi ruchami okazywać o co mu idzie, tak wszyckich z alkowy wypłoszył. Ksiądz ino pokiwał smętnie głową i rzekł, że nic ino jakoweś silne lichu ułapiło biedaczynę i trza innych sposobów się imać, by pomóc choremu w zbawieniu duszy a i od onej słabości uwolnić.

U św. Stanisława i św. Józefa, ponaglani talarami pani Pamułowej duchowni zaczęli odprawować chyże nabożeństwa, modły — ale to nie przydawało się na wiele. Jeno krzynkę zmienił się

Melchior, bo rankiem budził się pijaniusieńki, a nad wieczorem jakby go choróbsko odchodziło. Rozprawiał z małżonką przytomnie o interesach, dawał polecenia i bardzo sam dziwował się swej tajemniczej słabości. Zasypiali pospołu z Pamułową spokojnie i nobliwie, ale rankiem zwyczajnie budził się spity wińskiem, jak jakowaś świnia.

Aż jednego dnia, a było to w niedzielę, stał się on cud z winem.

Rankiem jak codzień, pani Pamułowa statecznie poszła do kościoła. Naprzód do św. Stanisława, a potem do Józefa, by modlitwy tym były mocniejsze i większy skutek wywarły im więcej odwiedzi domów bożych. Pokrzepiona na duchu wracała do domu, by przypilnować obiadu, a i męża w alkwie doglądać, któren acz chory, jednak wielce rażno i często, jak nigdy przed tym spełniał swe powinności małżeńskie. Gdy o onych igrach małżeńskich wspomniała, to jakości mięko zrobiło się jej na sercu i kole żywota. Nocne uciechy alkowy okrasily jej lica uśmiechem. Nie wiedziała, zaprawdę, biedaczka, jakowa nieszczęśliwość ją spotka doma — nie weseliłaby się zawczasu.

A w domu działy się rzeczy od których włosy dębem stawały, zebranych wokół łoża chorego Melchiora, znajomym i nie znajomym zbawionym krzykami służby.

Pamuła, nieprzytomny, poprostu tonął w morzu wina. Cała pościel, łoże, alkowa — pławiło się w winie. Chory sapał, wiercił się, wierzgał nogami, wymachiwał rękoma, nic to jednak nie pomagało — wino skądys łało się bez przerwy.

Co pobożniejsze niewiasty poklękały za zalanej winem podłodze i poczęły odmawiać litanie, nie zapominając wśród innych świętych wymówić imienia świętego „Melchiora od cudownego wina“ jak na poczekaniu przechrzczono Pamulę. Żarliwi jeli dłońmi z podłogi czerpać wino i nim się poić, licząc na to, iż trunek ten pomocny jest na wszelkie słabości i niedomagania. Niektórzy, widząc już było, przebrali miarę w tym spijaniu świętego trunku, bo i szkarlatnieć zaczęli na twarzach i oddechy im się skróciły, a i wesołość jakaś chwyciła ich, nie pozwalając bez uśmiechu i chutliwości spojierać na co młodsze pobożnisie.

Na to wszystko wpadła pani Pamułowa. Bez słowa niczym kamienny słup stanęła w progu. Przeżegnała się, a bolesny jęk wyrwał się z jej obfitych piersi.

— Cud, cud... Wino z niego tryska.

— Nic ino święty.

— ...Święty Melchiorze od wina wysłuchaj nas...

Słowa te i okrzyki, jak przez sen, dolatywały do żony nowokreowanego świętego.

Zaiste cud — przemknęło jej przez głowę i nie wiele myśląc runęła na kolana przed swym małżonkiem. Przed oczyma przelatywały jej najwspanialsze zwidy. Widziała już siebie, jak otoczona rojem niewiast dogląda Melchiora, jak ręce jej całują świętobliwe matrony, by móc w ten sposób osiągnąć ździebko łask, jakie za pośrednic-

twem świętego męża spadają na ludzi. A gdy doszła nawet do tego, jak obraz ze świętym Melchiorem od wina, przewielebny ksiądz proboszcz zawiesza w farnym kościele, wtedy przez lzy szczęścia dojrzała... ni to węża, ni jakowys długachny frędzel wyłazący spod koszuli swego świętego.

Złapała za on wisior i gwałtem go jęła pod koszulę mężowi wpychać. Dopiero kiej dojrzała, że z onego ciurkiem splywa cosik czerwonego obleciał ją strach, a drzączka. Sciskając w palcach dziwaczny frędzelek, niczym zaklęta stała nad łożem. Nagle jakowaś myśl strzeliła jej do głowy, powąchała trzymaną rureczkę.

— Wino, jako żywo wino! — wykrzyknęła. pojrzała znowu na Melchiora i aże zdrtęwała, bo u swego świątka za kołnierzem dojrzała kawał onego frędzelka, a gdy obaczyła, iżze pomyka on ku pułapowi, cosik ją tknęło.

Jeszcze nie złość, ale pomieszanie okrasilo jej policzki krwistymi rumieńcami. Wciekłość zaczęła ją zwolna ogarniać, gdy spojrzała na swego ślubnego, zbereźnie leżącego w łożu wińskiem zalanym, a gdy głupawy uśmiech zakwitł na jego pulchnych jagodach, coś się w niej zmogło, przełamało. Rzuciła co rychlej trzymanego wężyka i jak nie przymierzając tatarska strzała, pomknęła na przygórek.


Roztrąceni przez nią ludziska poczęli pomrukiwać, a nie jeden czerpiący wino u samego świętego źródła, któremu już oczy mgłą zachodziły od nadmiaru świętości, jął jej wygrażać, a zlorzeczyć.

Ech waszmościowie, co się zaś potem działo, nie warto gadać. Gdzie indziej niewiasta nie rozpyskowałaby na całe miasto, że to nie żaden cud, ino beczi z winem, do których wierny sługa, co wieczór przystawiał pipę i oną przez misterny otworek w pułapie spuszczał do łoża swego chlebobdawcy. W inszych krajach, wszycko spisanoby na pergaminie, złotym inkaustem i uznano za najprawdziwszy cud, no i mielibyśmy św. Melchiora od wina, a zaś u nas w Polsce, jazgotliwa baba rozwrzeszczała, że jej zbereźny, fafrowaty mąż — opój do beczi z winem wstawił pipę, a oną samą chytrze popod obiciem łożnicy, doprowadził sobie pod poduszkę i w ten przemyślny, a zacie sprytny sposób przez wela czasu oszukiwał żonę i cały gród.

Gdy się ona sprawa wydała, wela było takich, których ni jak nie można było przekonać, że on Melchior Pamuła nie żaden święty, ino chytry pijanica. Do teraz dużo mężów zacnych, a bogobojnych żarliwie modli się do onego Pamuly, uznając w nim swego patrona i orędownika.

Tak po prawdzie powiedziawszy to szkoda wielka, że nie został on kupczyk świętym, mielibyśmy o jednego więcej i splendor byłby dla nacji naszej większy i grodowi pielgrzymki korzyści by przyniosły, a tak nic. Ech szkoda! Boć skoro może być jakowys Jan w Oleju, czemu my nie moglibyśmy wydać świętego Melchiora w Winie, abo od Wina. Szkoda, naisto szkoda waszmościowie.

ANTONI TROJANOWSKI



MIECZYSLAW JASEK

WIERSZE

POZDROWIENIE O ŚWICIE

budzi się świt w Świdnicy
w grzybach fabrycznych dymów
z robotnikami rwie się ulicą
serce poety od rymu do rymu

słońce już złotem przecieka
między gmachami zieleni
w topieli murów chorał zaśpiewał
atak majowej czerwieni

drukarzy pozdrawiam serdecznie
zecerów linotypistę — mistrza
który w spokojnym składzie jutra
słowa Słowackie roziskrza

córeczce w drodze do szkoły
gdzie uczy się pątrzeć w serce
mową mych ojców przecudną
składam najlepsze swe wiersze

w parku listeczkom się kłaniam
wiosny zwycięskiej rundzie
brzózkom co w pół się skłoniły
mnie — świdnickemu wagańdziej

JESIEN

Sperlony rosą
migot plam
w nokturnie szelestu łez
drga

Topole natchnienia
kikut wiatru głaska
zatarta smuga żalu
ekspłduje

POD SNIEŻKĄ

zbocza falują dopływają nawet
do piersi zdrowej tęgiej baby Snieżki
krągłe jej biodra są syntezą rzeźby
jeszcze nie poczętej prócz wąziutkiej ścieżki

staw śpiewem wąsów smrekowych chłodzi
spłowiałe lustro które czuwa przy niej
po pocałunku chmur i znów się odsłonią
brzegi rozwarłe jak usta w zachwycie

ŚWIĄTYNIA

Lagodne zbocza Karkonoszy
przygarnęły czule
emigrantkę fiordów

Obmyte łzami żywicy
ciosane belki sosen
rozjaśniły
ponure pieśni Skaldów

Smoki Wikingów
rozsrebrzone solą oceanów
drzemią liniwie
obżarte słońcem południa

Lwy nordyckie
czeszą loki światła
mroźnymi kłami

Odrodzone dźwięki organów
sieją monotonne burze
cichych pieśni Griega

Nad niespokojną ziemią
kornik wydzwania
dukt pożegnania





TO NIEPRAWDA

pamięci Matki

nie
to nieprawda
by na Chojnika
czy Klimczoka stoku
orkiestra gałęzi
nie wygrywała Twojego imienia

nie wierzę
by wiosenny wiatr
co gwizdże i świszczę
we włosach Kowarskiej Przełęczy
nie wyszumiał Twojego imienia

to niemożliwe
by Łomnica
co ze Snieżką gada
nie mawiała Twojego imienia

by organy wodospadu
co nad Szklarską spada
nie wygrzmiewały Twojego imienia

to niemożliwe
by Twoje imię
zagarnęła ze wszystkim
beskidzka
dolnośląska
skalista ziemia

to nieprawda...

WYMARSZ

Pod skosem dachów, w szczęście pokoju
uwięziony, buduję zwodzony most zmierzchem
z próby pojednania ze światem zadrwiły
spłakane szyby nawałnicy deszczem

Wymarsz jesieni brukiem co szydzi
w przejmujące zimno, szarugę, słońce
taktem moich kroków od okna do drzwi
tam i z powrotem, tam i z powrotem.

RYNEK ŚWIDNICKI

Wianek kamieniczek kolorami tęczy
wabi barokiem połączanej ramy
jakgdyby fragment ze sztychu wyjęty
wdzięków krynoliny staroświeckiej damy

Z potu, trudu polskich robotników
wyrosły mury spracowaną ręką
stały się pięknem, które umie przykuć
czarują barwą, harmonią i wdziękiem

Zniewalają oczy namiętnym gwałtem
nikt się nie oprze przed ich świeżym pięknem
porywają zmysły lekkością i kształtem
w mózgu i w dłoniach murarza zaklętych

Pełne razy przebiegam z małą córeczką
podziwiać w złocie pilastry i frędzle
główkę zadziiera, wskazuje rączką
malarzy, co w słońcu maczają pędzle

UŚMIECH MIASTA

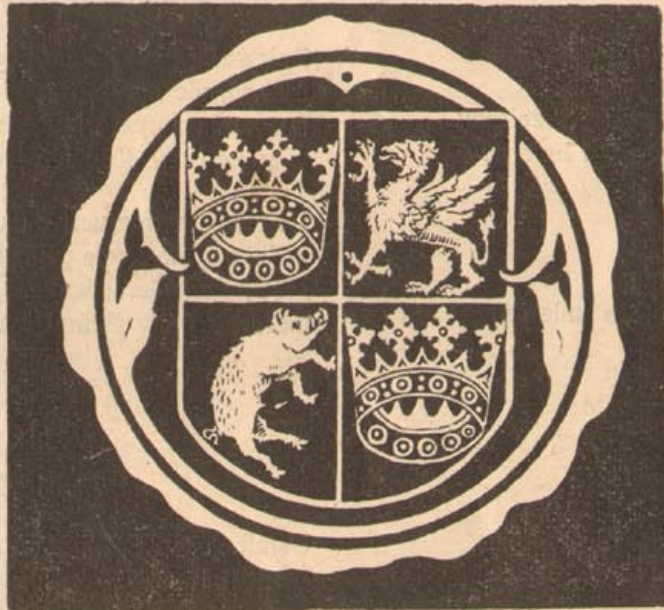
Uśmiech mojego miasta na płótnie malarza
co nosi słońce w sercu, promienie w palecie
pędzlem radosnego wiatru odnalazł
sznurek, którym wełnę obłoków plecie

Zaulki liryczne w poświęcie szronu
rozsadza gaworzeniem światła
linie wiatru, słup złotego dzwonu
szczebiotem cienkim przebiły barwy

Zwężonej księżycem uliczce w rynku
pijak rytmicznie widnokrąg kolebie
topole smukleją w cienkie kielichy
okna krzyżują spady światła w ziemię

Zatarłem uśmiech miasta i ludzi
za szumną zasłoną wymyślnych słów
niech deformacja, kamuflaż nie ludzi
idę obejrzyć płótna miasta znów





KRM 404
2. 60K